NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

r. 39 Katowice, 24-go września 1933

Niedziela szesnasta po Zielonych Świątkach.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Efezów, rozdz. III, wiersz 13—21

Bracia! Proszę was, abyście nie ustawali w uciskach moich za was, która jest chwała wasza. Dlatego zginam kolana moje ku Ojcu Pana naszego Jezusa Chrystusa, z którego wszystko ojcostwo na niebie i na ziemi jest nazywane, aby wam dał wedle bogactw chwały swojej, żebyście mocą byli utwierdzeni przez Ducha jego wewnętrznego człowieka. Aby mieszkał Chrystus przez wiarę w sercach waszych; w miłości wkorzenieni i ugruntowani, żebyście mogli pojąć ze wszystkimi świętymi, która jest szerokość i długość, i wysokość, i głębokość, i poznać przewyższającą naukę, miłość Chrystusową, abyście byli pełni wszelkiej zupełności Bożej. A temu, który mocen jest wszystko daleko obficiej uczynić, nad to, o co prosimy, albowiem rozumiemy wedle mocy, która w nas skutecznie robi; jemu chwała w Kościele i w Chrystusie Jezusie na wszystkie rodzaje wieki wieków. Amen.

EWANGELJA

u św. Łukasza, rozdział XIV., wiersz 1—11.

W on czas: Gdy Jezus wchodził w szabat do domu jednego z wybitnych faryzeuszów, aby się posilić, oni Go śledzili. I oto stanął przed Nim pewien człowiek chory na puchlinę. A Jezus, zagajając rozmowę, odezwał się do uczonych w zakonie i faryzeuszów, mówiąc: Czy godzi się w szabat uzdrawiać? Oni jednak milczeli. On więc, dotknąwszy się, uzdrowił go i odprawił. Przemówił też i rzekł do nich: Jeśli osieł lub wół któregokolwiek z was wpadnie do cysterny, czyż nie wyciągnie go natychmiast w dzień szabatu? I nie mogli Mu na to odpowiedzieć. A spostrzegłszy, jak skwapliwie wybierano sobie pierwsze miejsca, opowiedział zaproszonym przypowieść, mówiąc do nich: Gdy cię zaproszą na gody weselne, nie zajmuj miejsca pierwszego, aby przypadkiem nie zaproszono godniejszego od ciebie. A wtedy ten, co was obu zaprosił, zbliżyłby się i rzekł do ciebie: Ustąp miejsca temu. Wówczas zaś ze wstydem musiałbyś zająć miejsce ostatnie. Atoli gdy cię zaproszą, idź, zajmij miejsce ostatnie, aby — skoro nadejdzie, który cię zaprosił — mógł ci powiedzieć: Przyjacielu, posuń się wyżej. Wtedy spotka cię chwała wobec współbiesiadników. Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżon, a kto się uniża, będzie wywyższon.

Nauka niedzielna

o święceniu dni świętych.

Przykazanie obracania niektórych dni ku czci Boga jest prawem natury. Jako stworzenie jesteśmy obowiązani oddać Bogu osobliwie i zupełnie niektóre dni. Pan Bóg zastrzegł sobie każdy siódmy dzień tygodnia zaraz po stworzeniu świata. Czytamy ten nakaz Boży w księdze Rodzaju (2, 2. 3): „Dokonał Bóg w dzień siódmy dzieła swego i odpoczął w dzień siódmy od wszelkiego dzieła i błogosławił dniowi siódmemu i uświęcił go". Święcenie dnia siódmego jest więc prawem Bożem i nikt uchylać się od tego nie może. Jako dzień święty dla żydów ustanowił Bóg przez Mojżesza sobotę, dla chrześcijan zaś przez zarządzenie Kościoła niedzielę, bo na początku dziejów ludzkości dzień nie był ściśle określony.

Święcenie dnia siódmego nakazał Bóg żydom pod bardzo surowemi karami. Ogłosił im to Mojżesz pod górą Synaj:

„Pamiętaj, abyś święcił dzień sobotni. Sześć dni pracować będziesz i bedziesz czynił wszystkie roboty twoje. Ale dzień siódmy jest odpoczynkiem ku czci Pana, Boga twego. Nie wolno czynić weń żadnej roboty ani tobie, ani synowi twojemu, ani słudze twemu, ani bydlęciu twemu... Przez sześć dni bowiem czynił Pan niebo i ziemię i morze i wszystko, co w nich jest, a odpoczął dnia siódmego i przetoż pobłogosławił Pan dzień sobotni i świętym go uczynił... Ktoby go zbezcześcił śmiercią zginie; ktoby weń czynił robotę, tego dusza zginie z pośrodku ludu jego" (Exod. 20, 10. 11 i 31, 14).

Czytamy w czwartej księdze Mojżesza (Num. 15, 32—36), że w czasie swej podróży po pustyni spotkali raz żydzi człowieka zbierającego w sobotę drzewo. Przywiedli go do Mojżesza i Aarona. Gdy oni nie wiedzieli, co z nim zrobić, rzekł Bóg do Mojżesza: „Śmiercią niech umrze ten człowiek i niech go kamieniami zabiją za obozem". I tak się stało.

Bóg surowo strzegł swych praw do dnia siódmego.

Żydzi przestrzegali szabatu aż do przesady i często spierali się o to ze Zbawicielem. Czynili Mu wyrzuty, że w szabat uzdrawia, choć ma na tę pracę cały tydzień. Przyganiali Mu, że apostołowie zrywali w sobotę kłosy, tarli w dłoni i jedli ziarno i że im tego Jezus nie zabronił.

Pan Jezus przyniósł na ziemię zakon miłości i nie chciał obciążać ludzi przesadnemi wymaganiami. To samo zastosował do święcenia szabatu. Powiedział żydom, że „szabat utworzony został dla człowięka, a nie człowiek dla szabatu" (Mar. 2, 27), czyli, że święcić należy dzień święty o tyle, o ile jest mu to możliwe. Nawet robotę można wykonać, o ile ona jest konieczna do życia. Nie zganił tedy Zbawiciel apostołów zato, że zrywali w święto kłosy i jedli ziarno, bo przecież musieli się pożywić. Nawet żydom wolno było ratować bydlęta w razie nieszczęścia, jak im to Jezus w dzisiejszej ewangelji przypomina.

Kościół św. przejmując z nauką swego Boskiego Założyciela także przykazanie Boskie o święceniu dnia siódmego, przeniósł święcenie na dzień niedzielny, w którym dokonały się największe tajem-

nice naszej wiary, a mianowicie zmartwychwstanie Pana Jezusa i Zesłanie Ducha Świętego. Z nauką Zbawiciela przejął też Jego łagodność i względność dla potrzeb ludzi. Stąd też upominając wiernych, by pilnie strzegli dnia świętego, pozwala im jednak wykonywać niektóre prace, potrzebne czy do utrzymania życia, czy też dla publicznego pożytku.

Święcenie dnia świętego obowiązuje pod grzechem ciężkim. Święcimy zaś ten dzień najpierw przez wysłuchanie Mszy św., Boga bowiem jako początek wszechrzeczy należy uczcić przez ofiarę, którą w Nowym Zakonie jest właśnie Najśw. Ofiara krzyżowa, odnawiająca się we Mszy św. Święcimy dalej dzień święty przez wstrzymanie się od prac służebnych, aby spełnić drugi cel dnia świętego, którym jest uświęcenie duszy i odpoczynek dla ciała.

Bóg strzeże także dziś swoich praw do dnia siódmego w tygodniu, błogosławiąc tym co go dobrze święcą, karząc zaś tych, co go znieważają. Świadczy o tem nasze przysłowie: „Kto w święto jarmarczy, temu i na sól nie starczy“.

Przestrzegajmy jak najgorliwiej święcenia świąt i obracajmy je ku szczególnej czci Bożej i uświęceniu naszej duszy. Amen.

Oblężenie Częstochowy w r. 1655.

„Ledwie rozbłysło na niebie, rozpoczęła się walka artylerji; lecz tym razem pierwsze zagrały działa szwedzkie. Nieprzyjaciel nie myślał zrazu uczynić w murach wyłomu, by przezeń do szturmu się rzucić; chciał tylko przerazić, zasypać kulami kościół i klasztor, wzniecić pożary, podruzgotać działa, pobić ludzi, rozszerzyć trwogę.

Na mury klasztorne wyszła znów procesja, bo nic tak nie krzepiło walczących, jak widok Przenajświętszego Sakramentu i spokojnie z nim idących zakonników. Działa klasztorne odpowiadały grzmotem na grzmot, błyskawicą na błyskawicę, ile mogły, ile ludziom sił i tchu w piersi starczyło. Ziemia też zdawała się trząść w posadach. Morze dymu rozciągnęło się nad klasztorem i kościołem.

Co za chwile, co za widoki dla ludzi (a wielu takich było w twierdzy), którzy nigdy w życiu nie patrzyli w krwawe oblicze wojny!

Ów huk nieustający, błyskawice, dymy, wycie kul rozdzierających powietrze, straszliwy chichot granatów, szczękanie pocisków o bruki, głuche uderzenia o ściany, dźwięk rozbijanych szyb, wybuchy pękających kul ognistych, świst ich skorup, chrobot i trzaskanie dylowań, chaos, zniszczenie, piekło!...

W czasie tego ani chwili spoczynku, ani oddechu dla współzduszonych dymem piersi, coraz nowe stada kul, a wśród zamieszania głosy przerażające w różnych stronach twierdzy, kościoła i klasztoru.

— Pali się; wody! wody!

— Na dachy z bosakami!... Płacht więcej!

Na murach zaś okrzyki rozgrzanych walką żołnierzy:

— Wyżej działo!... wyżej!... pomiędzy budynki... ognia!...

Około południa dzieło śmierci wzmogło się jeszcze. Zdawać się mogło, że gdy dymy opadną, oczy szwedzkie ujrzą tylko stos kul i granatów na miejscu klasztoru. Kurzawa wapienna ze ścian obitych kulami wzbijała się i mieszając z dymami, przesłaniała świat.

Huk dział stał się przerywany, ale tak gęsty, jak oddech zdyszanego smoka.

Nagle na wieży, świeżo odbudowanej po zeszłorocznym pożarze, ozwały się trąby wspaniałą harmonją pobożnej pieśni. Płynęła z góry ta pieśń i słychać ją było naokół, słychać wszędy, aż na baterjach szwedzkich. Do dźwięku trąb dołączyły się wkrótce głosy ludzkie wśród ryku, świstu, okrzyków, łoskotu, grzechotania muszkietów, rozlegały się słowa:

Bogarodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!...

Tu wybuchło kilkanaście granatów; trzask dachówek i krokwi, a potem krzyk: — Wody! — targnął słuchem i... znów pieśń płynęła dalej spokojnie:

U Twego Syna, hospodyna,
Spuści nam, ziści nam
Chlebny czas, zbożny czas.

*

Nadeszła niedziela, święto Ofiarowania Najśw. Panny. W nabożeństwie nie było przeszkody, bo Müller oczekiwał na ostateczną odpowiedź, którą zakonnicy obiecali przesłać po południu.

Tymczasem pomni na słowa Pisma: jako dla przestraszonych Filistynów Izrael obnosił arkę Bożą koło obozu, chodzili znów procesjonalnie z monstrancją.

List wysłano o godzinie drugiej, ale nie z poddaniem się, tylko z powtórzeniem odpowiedzi danej Kuklinowskiemu, iż kościół i klasztor zowią się Jasną Górą, miasto do klasztoru nie należy.

„Dlatego to błagamy usilnie jego dostojność — pisał ksiądz Kordecki — abyś zechciał zostawić w pokoju Zgromadzenie nasze i kościół Bogu i Najświętszej Bogarodzicy poświęcony, iżby w nim cześć Boga na przyszłość pozostała, gdzieby zarazem Majestat Boski błagano o zdrowie i powodzenie najjaśniejszego króla. Tymczasem my niegodni, zanosząc nasze prośby, polecamy się najusilniej łaskawym względom waszej dostojności, pokładając ufność w jego dobroci, po której i na przyszłość wiele sobie obiecujemy...“

Byli przy czytaniu tego listu obecni: Wrzeszczowicz, Sadowski, Horn, gubernator Krzepicki, de Fossis, znakomity inżynier, na koniec książę Heski, człowiek młody, wyniosły bardzo, który lubo podkomendny Müllera, chętnie mu swą wyższość okazywał. Ten więc uśmiechnął się złośliwie i powtórzył z przyciskiem zakończenie listu:

— Po dobroci waszej wiele sobie obiecują; to przymówka o kwestę, panie jenerale. Zadam wam jedno pytanie, mości panowie: czy mnichy lepiej się proszą, czy lepiej strzelają?

— Prawda! — rzekł Horn. — Przez te pierwsze dni straciliśmy tylu ludzi, że i dobra bitwa więcej nie weźmie!

— Co do mnie — mówił dalej książę Heski — pieniędzy nie potrzebuję, sławy nie zyskam, a nogi w tych chałupach odmrożę. Co za szkoda, żeśmy do Prus nie poszli; kraj bogaty, wesoły, jedno miasto lepsze od drugiego.

Müller, który czynił prędko, ale myślał powoli, dopiero w tej chwili wyrozumiał sens listu, poczerwieniał więc i rzekł:

— Mnisi drwią z nas, mości panowie!

— Intencji nie było, ale na jedno to wychodzi! — odrzekł Horn.

Rozkazy dane przeleciały szybko z jednego końca linji szwedzkich w drugie. Szańce pokryły się sinawemi chmurami, klasztor odpowiedział wnet z całą energją. Tym razem jednak działa szwedzkie

lepiej ustawione, większą poczęły czynić szkodę. Sypały się bomby ładowane prochem, ciągnące za sobą warkocz płomienia. Rzucano także rozpalone pochodnie i kłęby konopi przesiąkniętych żywicą.

Jak czasem stada wędrownych żórawi, znużone długim lotem, obsiadają wzgórza wyniosłe, tak roje tych ognistych posłanników padały na szczyty kościoła i na drewniane dachy zabudowań. Kto nie brał udziału w walce, kto nie był przy armatach, ten siedział na dachach. Jedni czerpali wodę w studniach, drudzy ciągnęli sznurami wiadra, trzeci tłumili pożar mokremi płachtami. Niektóre kule łupiąc belki i krokwie wpadały na strychy i wnet dym a woń spalenizny napełniała wnętrze budynków. Lecz i na strychach czyhali obrońcy z beczkami wody. Najcięższe bomby przebijały nawet i pułapy. Mimo nadludzkich wysileń, mimo czujności, zdawało się, że pożoga prędzej czy później musi ogarnąć klasztor. Pochodnie i kłęby konopne, spychane drągami z dachów, utworzyły pod ścianami stosy gorejące. — Okna pękały od żaru, a niewiasty i dzieci, zamknięte w izbach, dusiły się dymem i gorącem.

Ledwie pogaszono jedne pociski, ledwie wody spłynęły po zrębach, leciały nowe stada rozpalonych kul, płonących szmat, skier, żywego ognia. — Cały klasztor był nim objęty, rzekłbyś: niebo otworzyło się nad nim i ulewa piorunów nań spada; jednak gorzał, a nie palił się, płonął i nie zapadał w rumowisko; co więcej, wśród tego morza płomieni śpiewać począł, jak ongi młodzieńcy w piecu ognistym.

Albowiem tak samo, jak dnia wczorajszego, ozwała się pieśń z wieży z towarzyszeniem trąb. Ludziom stojącym na murach i pracującym przy działach, którzy w każdej chwili mogli sądzić, że tam już wszystko płonie i w gruzy się wali za ich plecami, pieśń ta była jakby balsam kojący, zwiastowała im bowiem ciągle i ustawicznie, że stoi klasztor, stoi kościół, że płomień dotąd nie zwyciężył wysileń ludzkich. Odtąd też weszło w zwyczaj podobną harmonją osładzać sobie niedolę oblężenia i straszliwy krzyk srożącego się żołnierstwa oddalać od uszu niewieścich.

Lecz i w obozie szwedzkim czyniła owa pieśń i kapela niemałe wrażenie. Żołnierze na szańcach słuchali jej najprzód z podziwem, potem z zabobonnym strachem.

— Jakto? — mówili między sobą — rzuciliśmy na ów kurnik tyle żelaza i ognia, że niejedna potężna twierdza z popiołem i dymem jużby wyleciała, a oni sobie wygrywają radośnie... Co to jest?

— Czary! — odpowiadali inni.

— Kule się tamtych ścian nie imają. Z dachów granaty staczają się, jakobyś bochenkami rzucał. — Czary! czary! — powtarzali. — Nic nas tu dobrego nie spotka!

*

W nocy zapanował ruch w całym obozie. Ledwie światła dzienne zagasły, słychać było głosy komendy, przebieganie znacznych oddziałów jazdy, odgłos regularnych kroków piechoty, rżenie koni, skrzyp wozów, głuchy turkot dział, zgrzytanie żelastwa, dźwięk łańcuchów, szum, gwar i wrzenie.

— Czy nowy szturm na jutro?— mówili strażnicy przy bramach.

Lecz nie mogli nic widzieć, bo z wieczora niebo zawlokło się chmurami i począł padać śnieg obfity.

Gęste jego płaty przesłaniały świat. Około piątej w nocy wszystkie odgłosy ucichły, lecz śnieg padał coraz gęstszy. Na murach i blankach wież utworzył nowe mury, nowe blanki. Pokrył cały klasztor i kościół, jak gdyby go chciał ukryć przed wzrokiem najezdników, otulić i osłonić przed ognistemi pociskami.

Nakoniec poczęło szarzeć i dzwonek ozwał się już na jutrznię, gdy żołnierze, strażnicy przy południowej bramie, usłyszeli parskanie konia.

Przed bramą stał chłop, cały zasypany śniegiem; za nim widać było na wjazdowej drodze niskie, małe sanki drewniane, zaprzężone w chudą i poszerszeniałą szkapę.

Chłop począł „zabojać“ ręce, przestępować z nogi na nogę i wołać:

— Ludzie, a otwórzcie tam!

— Kto żywie? — zapytano z murów.

— Swój, ze Dźbowa!... Przywiozłem dobrodziejom zwierzynę.

— A jakże cię to Szwedy puścili?

— Jakie Szwedy?

— Którzy kościół oblegają.

— Oho, niemasz już nijakich Szwedów!

— Wszelki duch Boga chwali! Odeszli?

— Juże za nimi i ślady zasypało!

Wtem gromady łyczków i chłopów zaczerniały na drodze; jedni jechali konno, drudzy szli piechotą; były i niewiasty, a wszyscy zdaleka już wołać poczęli:

— Niemasz Szwedów! niemasz!

— Poszli do Wielunia!

— Otwórzta tam bramy! Ni człeka w obozie!

— Szwedzi odeszli! Szwedzi odeszli; — poczęto wołać na murach i wieść piorunem rozbiegła się w okrąg.

Żołnierze dopadli dzwonów i uderzyli we wszystkie, jakby na alarm. Kto żył, wypadał z cel, mieszkań, z kościoła.

Wieść brzmiała ciągle. Podwórzec zaroił się zakonnikami, szlachtą, żołnierstwem, niewiastami i dziećmi. Radosne okrzyki rozległy się dokoła. Jedni wypadli na mury, aby pusty obóz obejrzeć; inni wybuchali śmiechem lub szlochaniem.

Niektórzy nie chcieli wierzyć jeszcze; lecz napływały coraz nowe gromady tak chłopstwa, jak i mieszczaństwa.

Szli tedy z miasta Częstochowy i z wiosek okolicznych i z lasów pobliskich, gwarno, wesoło i ze śpiewaniem. Krzyżowały się coraz nowe wieści; każdy widział odchodzących Szwedów i opowiadał, dokąd odchodzili.

W kilka godzin później pełno było ludzi na pochyłości i na dole pod górą. Bramy klasztoru otwarły się szeroko, jako zwyczajnie bywały przed wojną otwarte; jeno wszystkie dzwony biły, biły, biły... a owe głosy triumfu leciały wdal i słyszała je cała Rzeczpospolita.

Śnieg zasypywał ciągle ślady Szwedów.

*

Od południa dnia tego kościół był tak nabity, że jako na brukowanych ulicach miejskich kamień leży jeden obok drugiego, tak tam głowa była przy głowie. Sam ksiądz Kordecki miał Mszę dziękczynną, a tłumom ludzkim zdawało się, że to biały anioł ją odprawia. I zdawało się także, że duszę wyśpiewa w tej wotywie lub że z dymami kadzideł uniesie się ku górze i rozwieje Bogu na chwałę.

Huk dział nie wstrząsał już murów, ani szyb w oknach, nie zasypywał kurzawą ludu, nie przerywał modlitw, ani tej dziękczynnej pieśni, którą wśród uniesienia i płaczu powszechnego zaintonował święty przeor: „Te Deum laudamus!“

Dziadek pod figurą.

(Ciąg dalszy).

Powołano więc do przysięgi wszystkich domowników i Franka z nimi, czy czego nie wzięli i czy nie widzieli, aby kto co zabrał, ale ludzie przysięgli i Franek przysiągł i nic zupełnie nie wykryto.

Uważano tylko, że od przysięgi jakoś Frankowi zmieniło się spojrzenie i już oczami nie patrzał śmiało po ludziach ,tylko wodził po ziemi, po kątach, jakby bał się, żeby przez oczy nie zajrzano mu do duszy. Nadto od tego czasu widocznie unikał ludzi. Kiedy zaś przyszedł w święto do kościoła, to się chował w najciemniejszy kącik i tam klęcząc modlił się z książki, ale tylko wargami, bo oczy to mu latały po ludziach, a jak się spotkał z cudzym wzrokiem, to zaraz spuszczał swój ku ziemi. Więc modlitwa taka nic nie warta, bo jedno westchnienie do Boga a szczere, serdecznie wypowiedziane z głębi duszy i serca, to więcej znaczy, jak takie całodzienne modlenie się.

W parę miesięcy po śmierci ojca, zimową porą zajechał przed dom Franka wasążek z dwoma szkapkami, a z niego wysiadła młoda ale strasznie wybiedzona kobieta, i tuląc dwoje malutkich dziatek do piersi ,drżąc od zimna, zapukała do drzwi. Po długiem czekaniu narzekając i mrucząc sam Franek otworzył drzwi, lecz zaledwie rzucił spojrzenie na stojącą z dziatkami kobietę, cofnął się nagle i wyrzekł przytłumionym głosem, jakby do siebie:

— Jadwiga! siostra! witaj... witaj, siostrzyczko, pod naszym dachem... to jest pod moim dachem. Chodź do środka, tam przy ogniu ogrzej się przynajmniej.

Jadwiga przeszedłszy przez jedną i drugą izbę, w których otoczona miłością i opieką zmarłego ojca była tak swobodną i szczęśliwa, siadając blisko komina, zalała się serdecznemi łzami i słowa nie mogła przemówić. Franek na płacz ten widocznie się niecierpliwił, to wstawał, to siadał, to przechodził się, to cmokał ustami, albo skrobał się po głowie. Gdy cokolwiek Jadwiga się w płaczu uspokoiła, stanął przed nią i zapytał troszkę z niecierpliwością:

— Moja siostro, zostawmy płacz na boku, bo nam nic z niego nie przyjdzie, a powiedz mi otwarcie, pocoś do mnie przyjechała?

Jadwiga szybko podniosło głowę i tak się pytaniem tem zadziwiła, że nawet nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Franek więc mówił dalej:

— Bo jeżeli myślisz moja siostro, że ci się po nieboszczyku rodzicu należą jakie sukcesje, to strasznie się mylisz.

— Mój bracie — odrzekła Jadwiga — głównie przyjechałam dla ciebie, żeby cię zobaczyć, powitać i razem z tobą zapłakać nad grobem ojca. Przytem i o tem chciałam się rozmówić, co pozostało po ojcu . . .

— Nic nie zostało dla ciebie — przerwał już z gniewem Franek — małoś to wybrała za życia ojca, jeszcze i teraz chcesz zabierać?

Jadwiga tak tem wszystkiem była odurzona, że sama nie wiedziała, czy to sen czy na jawie. Więc siedziała jak wryta z oczami wlepionemi w brata, a ten mówił dalej:

— Pracowałem przy ojcu, zabiegałem, nie nato, żeby potem dać się krzywdzić. Ty, moja siostro, wzięłaś wiano nielada jakie, a ja pracowałem przy gospodarstwie ;ciebie potem każdego roku ojciec wspierał, a ja pracowałem; wyście sobie rozkoszowali z nieboszczykiem szwagrem, a ja pracował; wyście stracili wszystko, a ja pracą i statkiem utrzymałem gospodarstwo i oganiałem się biedzie i wyciągałem na was do ostatniego grosza. Ty więc nie masz wiele, ale ja przynajmniej tyle, że z głodu nie umrę...

— Powiedz, bracie, że nic nie mam— z płaczem przerwała Jadwiga — tylko nędzę w domu, smutek wieczysty w sercu i tych dwoje nieszczęśliwych dziatek.

— A mnie co do tego? Czy to ja po ojcu zabrałem jakie pieniądze, czy co?

— Jednak ludzie powiadają...

— Co powiadają, co?

— Że po ojcu zostały pieniądze — odrzekła nieśmiało Jadwiga — i chciała mówić dalej, ale Franek skoczył jak oparzony, oczy mu się zaiskrzyły jak węgle i zawołał strasznym jak nie ludzkim głosem:

— Zostały pieniądze! jakie pieniądze? kto je widział?

— Ludzie tak powiadają....

— Ludzie, ludzie, moja przysięga więcej znaczy jak ludzkie języki.

— Jakto? więc przysięgałeś? — z największym przestrachem zawołała Jadwiga.

— Przysięgałem — grobowym głosem odrzekł Franek i oczy mu kołem stanęły.

— A ja nieszczęśliwa! — zawołała żałośnie Jadwiga, i ty, bracie, śmiałeś to zrobić?

— Przysiągłem, mruknął Franek jakby w obłąkaniu, przysiągłam....

(Dokończenie nastąpi).

Chodźmy jak najczęściej do kościoła.

Pomiędzy owieczkami, jakie błogosławiony proboszcz z Ars zastał w swej parafji, był pewien gospodarz ogólnie poważany, choć ubogi i nieumiejący czytać. Zachowanie się jego całe, a szczególnie pobożność, wielką pociechę sprawiały nowemu pasterzowi.

Przedewszystkiem proboszcza Vianney uderzyło to, że za każdym razem, co ów gospodarz wychodził do roboty w pole, albo z niej powracał, zawsze wchodził do kościoła, aby się w nim pomodlić. Narzędzia swoje zostawiał wtedy przy drzwiach, a sam spędzał nieraz długie chwile, klęcząc przed Panem Jezusem.

— Ojcze! — zapytał go raz ks. Vianney — powiedźcie mi co też wy mówicie P. Jezusowi, kiedy tak długo nieraz przed Nim klęczycie?

— Nic mu nie mówię! — odrzekł z prostotą. On patrzy na mnie, a ja na Niego.

Co to za szczytna odpowiedź! Prostaczek ten nic wprawdzie nie mówił, nie modlił się z książki, ale że miał oczy duszy oświecone wiarą: więc je otwierał i patrzał i widział Pana Jezusa; a serce jego rozpalało się ku Niemu miłością.

Jakby to było ładnie, żeby i u nas gospodarza tego ludzie naśladowali, i choć raz w dzień, przechodząc około otwartego kościoła, zaszli do niego, aby zmówić pacierz, pochwalić Pana, poprosić o Jego błogosławieństwo.